

JÓZEF LASOŃ.

KADRY POLSKIE.

(Z cyklu: LEGIONY.)

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

2

— Panie Sruł — zwraca się jeden z Legionistów do żyda — tę szafę zostaw pan nam.

— Ny, na co panom to? Panowie robicie sobie śmich.

— Nie mamy łóżek, panie Sruł. W tej szafie może spać sześciu, to szafa duża.

— Jo wim, panowie śmich robicie! — śmieje się Sruł, a w duszy przeraża go myśl, że szafa miałaby pozostać tutaj i służyć za łóżko i do tego sześciu ludziom.

Widząc jednakże, że to tylko żarty i że szafa pomału z wybuchami śmiechu wędruje ku drzwiom, pociąga palcami po siwej brodzie i mlaszcze bezkrwistymi wargami:

— Jo panom Legionistom po szabesie śliwowiec przyniosę. Ale fein śliwowiec.

Ostatni już grat żydowski opuścił kwaterę, powoli oczy nasze poczęły przebijać ciemności i kłęby dymu. Więc z wolna zbliżamy się ku nowym towarzyszom, odnawiamy dawne znajomości wspólnej doli karpackiej, poczem następują krótkie i bezładne pytania i odpowiedzi.

— A znaliście tego a tego?

— A wiecie, ten zabity!

— A co się z tym stało?

Starzy to przeważnie żołnierze, którzy rozstali się gdzieś wśród morderczych walk, zapomnieli wzajem imion i nazwisk kolegów, a teraz zeszli się znów w kadrze ze szpitali, z urlopów i Bóg zresztą wie skąd i znów na świeżą gotują się wyprawę. Snąją się opowieści, przejścia, żale i skargi, błogosławieństwa i chwały, przypomnienia ciężkich chwil. Niejednemu z nich pierś zdobi medal, niejedemu na ciele pokazuje najwspanialszy krzyż zasługi — ranę, opowiada o dziwnym trafie i biegu kul.

Ogień trzaska na kominku, gwiazdeczki złote — iskry padają koło kominka — nie dają jednakże ciepła tej kwaterze, gdzie blisko trzydziestu ludzi ma się udać na spoczynek.

Przy słabym świetle kopcającej naftowej lampy pisze się kartki i listy do ukochanych. Ręka drży od przemęczenia i wilgoci, oczy kleją się sennie, jednakże jedyna to chwila, gdy można napisać.

I wglądnijcie w te pokrzywione litery, potłuszczone kartki, a każda z nich powie wam, ile trudu, ile wysiłków i hartu ciała trzeba zebrać, aby skreślić choć kilka słów bezładnych do ukochanych.

Powie wam kartka taka i o warunkach i o przezwyciężeniu przemęczenia i nie dziwcie się, że czasem ktoś długo do was nie pisze, bo pisać jest niezdolny.

Kilku z nich zawzięcie gra w karty, przybijając silnie rzuconą o stół kartą, śledząc bieg gry z takim zajęciem, jakby się o rzecz pierwszorzędną wagi rozchodziło.

Godzina dziewiąta.

Inspekcyni wzywają do udania się na spoczynek, do zagaszenia światła.

Kilka garści słomy, akurat tyle, by parze gołębi wystarczyło, rozciąga się na gliniastej podłodze kwatery. Słży ona raczej do ograniczenia miejsca dla każdego osobnika, niżli dla wygody i wypoczynku ciała. Parę żdziebelek pod ciało, reszta pod głowę i wraz z plecakiem usłużą, jako pierzaste poduchy, w których się za dobrych czasów po uszy tonęło. Koc, który się cośkolwiek przy kominku zdołał osuszyć, jakby lniane prześcieradło przykrywa słomę i plecak, owija się niem człek, jakby worem i przykrywa płaszczem, który, jak deska, stwardniał po deszczu, ot i jedno z wykwinnych łóżek żołnierskich, luksusowych, rzekłbym, w przeciwstawieniu do rozmiękłej ziemi w okopie, lub rowie strzeleckim.

Ale niczem są wszystkie braki i trudy, niczem jakakolwiek dola i niedola żołnierska Legionisty, gdyż osłoda i rozrywką i wiernym a nieodstępnym towarzyszem Legionisty jest jego bajeczny wprost humor i wesołość, która każdą zgryzotę potrafi osłodzić i tęsknotę odpędzić!

— Ciekby zwaryował, gdyby nie ten humor i ta wiara — powiadają stare i młode wiarusy.

Przez wybite okna, zatkaane na prędce papierem, prąd zimnego powietrza wpada do izby, migocze światłem lampki. Nie wszyscy jednakże udali się na spoczynek.

Przychodzą czasem bezsenne noce, w których mimo ogromnego zmęczenia i bezwiednego drzemia sklejonych kurzem i dymem oczu, spać nie można. Zawsze się takich kilku znajdzie, ażeby zaś skrócić nudy czekania, spowiedź duszy jeden drugiemu czyni.

Wtulam głowę w koc, próbuję usnąć.

Nędza żywota i trudu wytrzeszcza szyderczo oczy ku mnie, przesuwają się kolejno obraz przyszłych dni, ciernista droga doli żołnierskiej, zda się, że zwątpienie pajęczą siatką oplatało ducha i smutek, pragnienie jakiegokolwiek zakończenia pasma tej drogi, jak oaza zdala nęci poczyną i rodzą się w duszy myśli ze słabego i zwątpiałego serca wypływające — aż tu nagle salwa ognista szczerego śmiechu od kompanów dochodzi. Podnoszę zaciękwioną głowę i słucham tej pustej czasem wesołości i wówczas siatka pajęczą, misternie mnie oplatająca, rozrywa się i serce się ku dobrym zwraca drogą, gdyż ten śmiech, ta wesołość uczy, że kto raz do sprawy świętej dłoń przyłożył, cofnąć się pod żadnym pozorem nie może i nie powinien, jeno musi każdą godzinę życia tak wykorzystać, aby ze szczerem sercem i radością każdą dolę zniósł i sprawie się przysłużył.

Tuż obok mnie dwóch nowych kolegów leżąc, starą odnawia znajomość, opowieść życia i szelmostwa swoje na jaw wydobywa.

— Aha! tyś był w piątej kompanii — mówi pierwszy.

— A tak! Ale byłem zaraz w trzeciej bitwie ranny pod i stamtąd do szpitala na Węgry odesłany.

— Wiesz, jo ci miałem szope! Zginałem od odziału na dwa dni błakałem się, szukając kompanii, wkońcu detarłem do Pytają mnie o marszrutę, wyciągnąłem przybili pieczętkę, siadom i jadę.

— To ci się udało?

— Ty wiesz, że potem byłem w niewoli.

— Tak, a długo?

— Cztery dni tylko.

— No, a jak tam?

— Nieźle. Zryć dali dosyć, wódki także, tylko cholery kozoki chcieli mnie powiesić!

— Godoj, godoj, bom ciekawy.

— Jak już widziałem, żem otoczony, a byłem posłany z patrolem i ludzie moi zostali zabici, wtedy rzuciłem czapkę swoją, a zdjąłem z zabitego żołnierza austriackiego. Dostało się nas trzech do niewoli. Ja i dwóch żołnierzy austriackich. Jednego z nich, Niemca, zaraz zabili kozaki, bo się opierał i nie chciał iść z nimi, tak go bagnetem przebili przez pierś i zostawili. Widząc to, nie opierałem się, tylko poszedłem. Sprali mnie nahajkami, a potem rewizję przeprowadzili koło nas. Przy mnie znaleźli kulka karetek polowych z pieczętkami naszego batalionu i chcieli mnie od razu powiesić, jak również i tego drugiego żołnierza austriackiego, gdyż nie chciało im się nas odprowadzać. Aleśmy się uprosili. Ja zdołałem ukryć brzoń w rękawie, który znalazłem na pobojowisku i pomimo dwukrotnej rewizji nie znaleźli go przy mnie. Myślałem sobie, że gdyby tak naprawdę chcieli mnie powiesić — a jest ich czterech — zarezykować można. Moja śmierć — to i ich śmierć. Ale przyprowadzono mnie wkońcu przed jakiegoś wyższego oficera, zdaje się pułkownika, bo miał na ramieniu złote epolety i gałazki i ten mnie poczyną pytać:

— Dużo jest tam u was ludzi w rezerwie?

— Tyle, co liści na gałęziach w tym lesie! — począłem kłamać, aby ich nastraszyć.

— A w linii?

— Będzie z dziesięć tysięcy!

— Prawdę mówisz?

— Świętą prawdę!

W drodze rozpoczęła się pijatyka, co chwilę kto inny podawał mi flaszkę z wódką, a ja, przytykając flaszkę do ust, udawałem że piję i po krótkiej chwili począłem się chwiać na furze wraz z nimi udając pijanego. Wkrótce wjechaliśmy w las. Teraz, myślę sobie, odpowiednia chwila. Nieznacznie zeskoczyłem z wozu, przypadłem do krzaków, ukrywając się. Brzoń szybko wyciągnąłem z rękawa, odciągnąłem bezpiecznik i gotów byłem

na wszystko. Ale gdzieś tam. Nie wiem, czy wogóle wiedzieli, wielu mają jeńców i kto i jak im w drodze zginął.

— Bales się tego sądu polowego?

— E, głupstwo! Cóż mi mogli zrobić? Wszak idąc na wojnę, każdy jest przygotowany, że zginie. I niby, czy tak, czy owak na jedno wychodzi. Chyba nie ma człowieka, któryby nie wiedział, że na wojnie każdej chwili można zginąć. A po wtóre coż mi mogli zrobić? Na Sybir i tak wszystkich wysyłają. Mam tam z głodu umrzeć i zimna i męczyć się, wolę od razu, a zresztą to tylko kozak, co wiesz a to tylko wtedy, gdy nie ma nad nim nadzoru. Czy to austriacki żołnierz, czy węgierski, czy Legionista — kozakom to wszystko jedno — oni z jeńcami nie lubią się bawić.

— Słyszałem o tem już nie raz.

— Sytuacja moja nie była wtedy wcale wesoła. Przegradzała mnie linia bojowa i każdej chwili mogłem wpaść powtórnie w ręce Moskali. Po kilkogodzinym tułaniu się dotarłem do samotnej chaty, z której dochodziło światło. Podsunąłem się pod okna i dojrzałem ruskiego chłopca, grzejącego się przy kominku, gotującego zapewne jakąś strawę. Na ścianie wisiał karabin rosyjski. Przemknęło mi przez myśl, że widocznie to jeden z „tajnych“ wywiadowców nieprzyjacielskich. Otworzyłem raptownie drzwi i zawołałem na chłopca, aby trzymał ręce do góry.

Wystraszonym wzrokiem spojrzał na mnie, łyżka wypadła mu z rąk.

— Zdejmuj ubranie! — zawołałem.

Mruknął coś pod nosem, oczy mu się dziko, jak u tygrysa, zaiskrzyły i nieznacznie posuwać się począł ku ścianie, gdzie wisiał karabin. Spostrzegłem ten jego manewr i na czas zagroziłem mu drogę. Zgrzytnął zębami z wściekłości i zamierzał rzucić się na mnie. Wystrzeliłem wtedy z brauninga, padł trafiony kulą w głowę. Zagasiłem czempredziej światło, zdjąłem z niego ubranie góralskie, gorączkowo przeszukując kieszenie. Oprócz rubli znalazłem przepustkę rosyjską, dzięki której udało mi się przejść przez linię nieprzyjacielską i dojść do swoich. Nie poznali mnie początkowo i chcieli zaaresztować, dopiero kilku znajomych, upewniwszy się o tożsamości mojej, wybawiło mnie z dalszych oparów.

— Toś się spisał!

— I, głupstwo wszystko, ale martwi mię, że mnie superarbitrowali i muszę iść do cywila.

— Tak, a dlaczego?

— Mam przestrzeloną nogę i nie mogę maszerować.

— Więc co zrobisz?

— Nie! Nie pójdę teraz po tylu miesiącach do cywila za nic. Przebijam się przez zimę, a z wiosną to ja tam znajdę swoją kompanię, choćby mnie nie raz, ale dziesięć razy przy superrewizji do cywila przeznaczali.

— Ty, a nie żal ci tego Rusina?

— Trudno! Jeden z nas musiał ustąpić. A zresztą niejednego naszego wysłał on na Abrahama Iona i nie szkodzi, że sam raz powędruje.

— Ale servus! Spać mi się chce. Cześć!

— Cześć!...

Po chwili zapadli już w głęboki sen, przytuliwszy się do siebie, jak dwaj rodzeni bracia. Poukładali się do snu i ci, których kołysał do snu serdeczny śmiech kolegów.

Jakby na Madejowem łożu, bezwiednie, podczas snu rzucił się jeden i drugi, przełożył z boku na bok.

Wicher huczy po gruzach domostw opodal stojących, dokończa dzieła zniszczenia pocisków armatnich, nadszarpane pokrycia dachów z hukiem strąca na bagniste ulice.

I krzywią się usta śpiących radośnie, to znów rozpacznie, zależnie kto o czym śni. Może nocną porą duch ich do ukochanych zabłądził, ciepła rodzinowego, otuchy nabrać poszedł, może tęsknotę wysłowić, a może błagać się po pobojowiskach i szlakach, które z bagnetem w dłoni szli i iść nie-długo mają.

Może... Nie wiem... gdyż jedne usta rozpacznie się krzywią, a drugie znów weselnie.

Zależy... kto o czym śni...

— — — — —

Piłsudzczyków kadra...

Drewniany, prosty barak pod miastem postawiony, ongiś rosyjskim wojskom za koszary służył. Dwudziesty piąty pułk smoleński dawniej tu stał, sławny pułk.

Pozostała po nim tylko szopa drewniana, białym wapnem w środku wybielana, nie wiadomo po co